Zera 8 — Gunslighter

Mimo przemożnej niechęci do eleganckich strojów, Piotrek ubrał się najpiękniej, jak tylko mógł. Czarny garnitur, biała koszula, czerwony krawat. Nikt nie powiedział przecież, że nie zaproponują mu dobrze płatnej posadki w nagrodę za wrodzony wdzięk, cięty język i niebanalne poczucie humoru. Innych referencji Piotruś niestety nie posiadał.

Była dziewiętnasta dziesięć, kiedy Maria pożegnała go słowami: „Tylko nie spij się za mocno.", a jako kobieta z bogatym doświadczeniem, wiedziała co mówi. Idąc do metra, a nawet jadąc nim, rozpatrywał możliwe rozwiązania dzisiejszego wieczora. Był tak podekscytowany, że wcale nie przyszło mu do głowy, iż może jakiś zazdrosny mąż chciał się z nim policzyć za kopulowanie ze jego żoną w godzinach pracy. Zresztą słusznie, gdyż nie taki był powód dzisiejszego spotkania. Niemniej jednak należy rozliczyć go z ułomności dedukcyjnej.

Na miejsce dotarł o dziewiętnastej czterdzieści osiem, taką przynajmniej godzinę obwieszczał zegar znajdujący się na Pałacu Kultury. Hall Marriottu był wielki i jasny. Podłoga została wyłożona kremowym marmurem, a kolumny stanowiły zbitkę drewna oraz brązowego granitu. Oprócz tego kanapy. Mnóstwo kanap w mało strategicznych punktach. No i jeszcze masa sztucznych, kwiatopodobnych bibelotów. Wszystko, co mogło się tam świecić i lśnić, świeciło i lśniło wręcz oślepiająco.

Kilku recepcjonistów siedzących za długim wypolerowanym kontuarem przyglądało mu się z ciekawością. Ich chytre kaprawe oczka wyglądały, jakby wiedzieli coś, czego on nie wie. Ponadto byli ubrani wykwintnie i z klasą, choć nie na tyle wysoką, by peszyć ewentualnych klientów.

- Dobry wieczór – rzekł Piotrek.

- Dobry wieczór – odparł szpakowaty jegomość o świecącej, chyba nakremowanej twarzy.

- Jestem umówiony na spotkanie na dwudziestym drugim piętrze.

- Naturalnie – rzekł wyciągając spod lady zwiniętą na pół kartkę papieru – proszę się tu wpisać. Na kartce wydrukowane były jeszcze dwa nazwiska oraz odręcznie dopisane imię „Andrzej" pod spodem. Zaraz po złożonym podpisie, portier skinął na boya hotelowego.

- Zaprowadź pana na dwudzieste drugie piętro – rzekł uwydatniając literę „Ę", być może, by brzmieć bardziej dystyngowanie.

- Już się robi – odparł chłopak. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat.

Jadąc windą zastanawiał się, kim jest pozostała trójka z tajemniczej listy i dlaczego nikt nie poprosił go o dowód w celu potwierdzenia tożsamości

- To tutaj, proszę pana – rzekł przesadnie miłym tonem – pójdzie pan korytarzem na prawo i tam na pewno znajdzie pan pokój numer dwa trzy sześć sześć.

- Dziękuję – odparł Piotrek, choć tak naprawdę chciał zapytać, czy nie lepiej byłoby powiedzieć: dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt sześć. Nie podzielił się jednak swoim nic nie wnoszącym spostrzeżeniem.

Pokój numer dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt sześć był tak naprawdę wielką salą konferencyjną z owalnym stołem niewyobrażalnych rozmiarów. Ściany zostały pokryte dźwiękoszczelną powłoką w kolorze jasnofioletowym, a całą surowość wnętrza podkreślała jeszcze biała tablica w hotelach nazywana z angielska flipchartem. Kto wie, jak wpływowe firmy rozrysowywały na niej swe wizjonerskie biznesplany?

Na końcu stołu, po oknem, siedziała czwórka mężczyzn ubranych w garnitury. Od lewej: Janek, Robert, Bucik, a na końcu Biały.

Piotrek był pierwszy. Bezmiar przestrzeni, który współdzielił z czterema nieznajomymi mężczyznami speszył go do tego stopnia, że zapomniał nawet powiedzieć: „Dobry wieczór".

Zbliżywszy się na odległość trzech metrów, skinął lekko głową i spojrzał na nich pytająco, o ile oczywiście można tak na kogoś patrzeć. Wszyscy czterej uśmiechnęli się i zgodnie powiedzieli: „Cześć".

- Czyj to? – spytał Biały.

- Mój – odparł Janek
- Zwykły jakiś – rzekł Bucik
- A co byś, kurwa, chciał? Syrenę?
- To żona wybierała – Janek starał się pojednać kłótliwe towarzystwo
- Palisz? – spytał Janek patrząc na chłopaka.
- Zależy, co.
- Szlugi, przecież nie crack.
- Prędzej crack – odrzekł Piotr. Wcale nie żartował. Naprawdę wolałby odurzyć się jakimiś potężnymi narkotykami, niż bezsensownie pompować w siebie nikotynę, którą uważał za gówno, a nie narkotyk.
Bucik zachichotał. Sam też chętnie spróbowałby cracku. Podobno jest nieziemski.
- Nazywasz się Piotrek, tak? – Robert udał, że wcale nie słyszał poprzedniej wymiany zdań.
- Tak
- Ja jestem Robert, to jest Janek, to Bucik, a tam na końcu siedzi Biały. Nie sądzę, żeby nasze imiona czy też kryptonimy operacyjne były nam do czegoś potrzebne, ale trzeba było od czegoś zacząć, nieprawdaż? Poczekamy na resztę, a wtedy Janek wprowadzi was w temat i zaczniemy zabawę.
Janek odpalił papierosa, po czym zaciągnął się tak mocno, że jego pęcherzyki płucne postanowiły złożyć wymówienie w trybie natychmiastowym.
- Gdzie moja żona cię wypatrzyła? – spytał tonem przyjacielskiej pogawędki, ale żarzący się czubek papierosa, którym celował w odświętną pierś Piotrka, świadczył o czymś zgoła innym.
- Myślę, że w sklepie, w którym pracuję.
- A gdzie to jest? – dopytywał Janek.
- Hugo Boss na Placu Trzech Krzyży.
- A, to możliwe. Moja żona często tam bywa – rozchmurzył się.
Przez chwilę przeszło mu przez myśl, że może jego rozwiązła czterdziecha mogła znów poderwać jakiegoś syna swojej znajomej, albo, co też się zdarzyło, syna swojego kochanka.
Ale żeby w sklepie odzieżowym? To wydawało mu się mało prawdopodobne.
Chwilę potem drzwi rozwarły się na oścież. Edyta wkroczyła powoli i niepewnie. Poważna twarz, specjalnie pozbawiona makijażu sprawiała, że wyglądała pięknie i mądrze.
Na jej widok twarze Białego i Roberta leciutko drgnęły, natomiast ich źrenice zrobiły coś odwrotnie proporcjonalnego względem siebie.
Każdy wie, że po źrenicach poznać można, czy dany skrawek świata podoba się obserwującemu. Tak więc, podczas gdy źrenice Roberta zrobiły się ogromne, te należące do Białego skuliły się, jak dzieci przed ojcem alkoholikiem.
Edyta stanęła w połowie kroku. Widok, który pochwyciły jej źrenice sprawił, że świat dookoła zawirował. Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy uciekać.
Oto ona, ekskluzywna prostytutka, wchodzi do sali konferencyjnej, w której czekają na nią zagarniturzeni mężczyźni.
„Czy to ma być wstęp do jakiegoś wysokobudżetowego pornosa?" – pomyślała zamykając za sobą drzwi.
Robert poderwał się z miejsca, lecz ułamek sekundy później wrócił na swoje miejsce. Skrępowanie wygrało bitwę z kurtuazją i szczerą sympatią.
Na pozostałych gości nie trzeba było długo czekać. Bucik zaprosił pana Mateusza, który niegdyś był z zawodu lakiernikiem. Obecnie natomiast piastował urząd żebraka specyficznej kategorii. Był wszak dobrymi niepijącym żebrakiem, który posiadał mieszkanie i córkę. Córka była zresztą jego pomagierską w interesie. Razem okupowali brązowy kocyk w misie, który można było podziwiać przy wejściu do metra Ratusz Arsenał.
W czym specjalizował się Mateusz? W smutnym spozieraniu znad bezrobotnego wąsa o lekko miedzianej barwie. Prawdziwą artystką była jednak jego córka. To ona była zaklinaczką łez i poruszycielką sumień.

Nawet od najbardziej zatwardziałego cynika, któremu świat wydawał się raczej zabawny, potrafiła wyciągnąć kilka złotych. I to bez jakiegoś udawanego smutku, czy fałszywych łez skapujących powoli po długich rzęsach. Po prostu patrzyła tak, jakby szczerze martwiła się o przechodniów. Jakby próbowała pojednać ich z Bogiem.
Tej nocy jednak mała profesjonalistka została sama w domu, ojciec zaś ruszył ku przygodzie i, być może, radykalnej zmianie stylu życia, o czym jeszcze nie wiedział.
Tuż za nim przyczłapał się przedziwny osobnik. Miał krótkie siwe włosy i niespotykanie wręcz grube okulary dla krótkowidzów.
Biały na jego widok aż przyklasnął.
Ostatni kandydat nosił imię Andrzej, ale nikt, włączając w to jego samego, nie miał o tym pojęcia.
Andrzej z zawodu był wariatem. Bodźce, których dostarczał mu świat, rozbijały się o jego, zamknięta na cztery spusty, głowę. Biały spotkał go na skrzyżowaniu Świętokrzyskiej i Nowego Świata. Na jego szyi zawieszona była karteczka z napisem: „Zbieram na wyjazd do Mediolanu". Ten wyszukany żarcik był pomysłem jednego ze studentów pobliskiego wydziału Polityki Społecznej. Biały był szczerze ubawiony jego widokiem i właśnie przez to, postanowił na chwilę przejąć nad nim pieczę.
Andrzej nie trafiłby oczywiście we wskazane miejsce, gdyby nie Biały, który zawiózł go do hotelu i wynajął pokój kilka pięter niżej. Dopilnował nawet, by mężczyzna dokładnie się wyszorował, smród moczu bijący od Andrzeja był bowiem nie do zniesienia. I jakby tego było jeszcze mało, załatwił mu nawet eskortę pod same drzwi. Efekt tych zabiegów był zadziwiający. Gdyby nie głupkowato rozwarte usta Andrzeja oraz język bezmyślnie wodzący po zębach, nikt nie mógłby wiedzieć, że ma do czynienia z wariatem.
- Proszę, zapraszam, usiądźcie obok kolegi Piotrka – rzekł Janek, gdy cała czwórka znalazła się we wnętrzu.
Chwilę potem wstał, zapalił papierosa i głęboko się zaciągnąwszy rozpoczął swoje wyuczone na blachę przemówienie, do którego dość długo się przygotowywał.
„Zastanawiacie się pewnie, po co was tutaj zaprosiliśmy. Kilka lat temu to samo pytanie zadał nam nasz nieodżałowanej pamięci prezes. Ściągnął nas do tej samej Sali, by uzmysłowić nam, że pieniądze to potęga. I to potęga najwyższego rzędu. Być może nie ma w tym krztyny romantyzmu, być może któreś z was uznałoby, że jednak miłość powinna stać na szczycie tej hierarchii, ale my niestety nie zgadzamy się z tym stanowiskiem. Tylko, że pieniądze stanowią niebezpieczną materię, gdyż mogą wyciągnąć z biedy najbiedniejszego żebraka, ale mogą też wspomnianemu żebrakowi napytać jeszcze większej biedy…"
Janek zawiesił spojrzenie na wariacie Andrzeju, który z wielką pasją dłubał właśnie w nosie. Wydawało się, że prawie prawie, już za momencik dostanie się do tego skarbu, którego z takim zacięciem poszukuje.
- Miałem przygotowane jeszcze trochę równie wartkiej perory – rzekł po długiej pauzie – ale już mi się odechciało. Ujmę to krócej. Idziemy na balangę, a jednej osobie, która najbardziej się nam spodoba, damy czterysta tysięcy złotych. Od każdego z nas po stówce.
Nie pytam, czy się zgadzacie, bo to raczej oczywiste. Jakieś pytania?
- Tak po prostu? – spytał Piotrek nie do końca wierząc w szczere intencje filantropów. Tak po prostu dacie nam czterysta tysiaków i już? Nic nie będziemy musieli robić?
- A co byś chciał robić? Jakieś zadania? Bieg na orientację?
- Nie zależy nam na oglądalności – rzekł Bucik.
- Mało tego – Robert także próbował wczuć się w rolę wodzireja – to my zapewnimy wam atrakcje tego wieczoru. No i nie bardzo pragniemy rozgłosu. Wiecie, jakieś podatki od darowizny, te sprawy. Po co to komu?
- Jeśli już mowa o atrakcjach, to może zacznijmy od tego – Janek z wewnętrznej kieszeni marynarki dobył przezroczystą torebeczkę po brzegi wypełnioną białym, lekko mieniącym się proszkiem.
- Czy to jakieś narkotyki? – spytał pan Mateusz.

- To średniej klasy kokaina – wyjaśnił Jan.
- Kupilibyśmy lepszą – ciągnął Bucik – ale w Polsce ciężko dostać naprawdę dobry koks.
- To ja podziękuję. Zawsze powtarzam córce, że narkotyki to najgorsze zło.
- Musi być bardzo młoda, jeśli w to wierzy – wyszczerzył się Biały.
- Ma dziewięć lat.
- A, to bardzo słusznie. Ja też bym juniorowi koksu nie sypnął, ale dorośli to co innego.
Po co się czołgać, skoro można latać? Niedługo, być może, wrócisz do swojego żałosnego życia…
- Biały! – upomniał go Robert
- Chodzi mi o to – Biały zszedł nieco z tonu – że w życiu trzeba próbować nowych rzeczy. Ten, kto nie ryzykuje, stoi w miejscu. W swoim starym, zasranym gnieździe.
- Powinien pan wziąć się za literaturę piękną. Ma pan naturalny talent – rzekł Piotrek.
- Kto? Ja? – zdziwił się Biały.
- Jaja sobie z ciebie robi – głos Janka zdradzał lekką dumę ze swojego kandydata.
Edyta nie mówiła kompletnie nic. Siedziała wsparta na łokciu i taksowała Białego morderczym spojrzeniem. Kiedy jednak Biały zerkał na nią, ta raptownie odwracała wzrok.
- Biały, co ty żeś odjebał? – szepnął Robert. Chodziło mu o wariata Andrzeja, który straciwszy całkowicie kontakt z bazą, wąchał właśnie swój nadgarstek. Przypuszczalnie obsługa hotelowa spryskała go jakimiś perfumami, które rozbudziły w nim ciekawość.
- Sądziłem, że w praktyce będzie to wyglądało zabawniej – odparł smutno.
- Powinniśmy się go szybko pozbyć.
- Bez przesady. Niech chociaż ściechę wywącha.
- A jak umrze od tego. Nie wiesz przecież, co mu dolega.
- Nic mu nie będzie – Biały ostentacyjnie machnął ręką.
Całą zawartość torebeczki rozsypano na stole. Potężna kupka białego proszku wdzięczyła się do zgromadzonych. Janek wyciągnął z portfela złotą kartę z pięknym złotym orłem uwięzionym w hologramie i czynił z niej przyrząd do rozdrabniania.
Kiedy rozgniótł już wszystkie grudki, począł formować śliczne, cienkie jak niteczka, kreski.
Wszyscy poza Andrzejem patrzyli na nie jak zahipnotyzowani. Nawet Mateusz, tyle że on z czystej ciekawości. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z żadnymi narkotykami. Andrzej natomiast kontemplował swoje spinki do mankietów.
- Zaraz po wciągnięciu tych wspaniałości – rzekł Robert – pojedziemy do Sękocina. Mamy tam wynajęte małe studio filmowe, w którym czekają na nas dalsze atrakcje. Chcieliśmy urządzić wszystko tutaj, ale dyrekcja Marriottu po zeszłorocznej imprezie ma do nas raczej ograniczone zaufanie.
- Co zrobiliście? – zaciekawił się Piotrek.
- Nieważne. Nie wyrabiaj sobie zbyt pochopnie opinii – odparł Robert delikatnie się czerwieniąc.
- Na dole czeka na nas limuzyna – rzekł z dumą Biały – jebnijmy, co nasze i znikajmy.
Mateusz stanowczo odmówił zażywania kokainy.
Szefowskie gremium przyjęło odmowę dość spokojnie. Tylko Biały kręcił nosem na stare pokolenie rozmiłowane w alkoholu.
- To może chociaż szklaneczkę soku jabłkowego. Sam go w spożywczym kupowałem – zagadnął Janek.
Mateusz obejrzał dokładnie szatę graficzną kartonu, którego zawartość okazała się być nektarem zawierającym jedynie trzydzieści siedem procent prawdziwego soku po czym powiedział, że soku napije się chętnie, bo od tych wszystkich niespodzianek zaschło mu w gardle.
Janek odkręcił zieloną nakrętkę i przechylił karton nad śliczną kryształową szklanką do whisky.
- Bardzo proszę – podał Mateuszowi.
Mężczyzna bardzo długo przyglądał się wzorom wyrytym na szklance mrucząc: „Och, jakie piękne. O rany, musiała dużo kosztować”, a potem wychylił całość niemal jednym haustem.

Nie wiedział, bo i skąd miał wiedzieć, że nektar, który zawierał jedynie trzydzieści siedem procent soku, zawierał także prawie calutki gram średniej klasy kokainy.
„Szkoda, że to nie Rufi. Kazałbym cię komuś wyruchać, ty nudny skurwysynu.”- pomyślał Janek. Był ogromnie dumny ze swojego fortelu.
Z Edytą i Piotrkiem poszło już gładko. Edyta nigdy nie odmówiłaby darmowej kokainie, która aż sama prosiła się o wskoczenie w jej równe, drobne nozdrza. Piotrek zaś w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Po prostu przyjął uciętą słomkę do napojów i pierdyknął, raz w jedną, raz w drugą dziurkę tak, jak to widział w „Requiem Dla Snu”.
Andrzej natomiast okazał się ciężkim orzechem do zgryzienia, mimo iż Biały wspinał się na wyżyny Retoryki Stosowanej.
Mówił: „Masz, zobacz, wciągnij to, o tutaj leży, masz słomkę, no masz, weź, słyszysz, popatrz, o tutaj, widzisz, weź słomkę” – na tym etapie argumentacji udało mu się wepchnąć słomkę w dłoń Andrzeja – „a teraz bierzesz i robisz tak” – teatralnie pociągnął nosem – „widzisz, i proszek znika”.
Następne ćwiczenia Biały postanowił przeprowadzić w praktyce. Przesunął swoją kreskę tuż obok kreski Andrzeja, nachylił się i pociągnął tak mocno, by drobinki proszku trafiły w podstawę mózgu. Biały wiedział, że z anatomicznego punktu widzenia jest to niemożliwe. Chodziło mu raczej o samą ideę.
O dziwo, zabiegi Białego przyniosły oczekiwany rezultat. Andrzej pochylił się nad kreską i niezdarnie, trochę ciągnąc, a trochę rozdmuchując, pozbył się całego węgorzyka.
Robert, który też zażył swoją część, chciał już unosić ręce do oklasków, gdy w oczy rzuciła mu się Edyta. Nie jakoś natarczywie. Po prostu wpadła w kadr. Nie była już smutna, czy osowiała. Przeistoczyła się bowiem w Edytę Wszechmogącą, która z lekko rozbawioną miną analizowała pozostałą część tej kalejdoskopowej menażerii.
Na przykład Robert – co on robi w towarzystwie tych niewydarzonych chamów? Albo Bucik, dlaczego siedzi taki nieobecny? Może nad czymś myśli, albo może coś go trapi, jakieś interesy pewnie. No bo co może trapić jeszcze nie dość młodego bogacza, który jest w stanie od tak sypnąć stówką w błoto. Na pewno interesy. I ten Rudy.. Coś z nim jest nie tak. Za młody jakiś. I tak chytrze zerka, jakby wszystkich dookoła miał za gorszych od siebie. No, ale rude to wredne – nic dziwnego.
A skoro już jesteśmy przy rudych… Kłębowisko myśli w głowie Piotrusia rozplątało się i stanęło w dwuszeregu. Nie stało się tak raptownie. Był to raczej płynny proces, który po prostu nastąpił bez jego wiedzy.
Myślał o wymarzonym sklepie internetowym, w którym sprzedawałby wymyślne koszulki dla hipsterów. Miał już nawet pomysł na pierwszą. Byłaby biała z napisem: „Komandos Wróbel”.
Tuż nad nim widniałaby hiperrealistyczna głowa wróbla przymocowana do komiksowego torsu jednego z G.I. Joe. Dajcie mi te pieniądze – myślał – a zawojuje rynek.
Janek dogasił papierosa, po czym wstał i rzekł do zgromadzonych: „Przepraszam za wyrażenie, ale spierdalamy”
Co do cudownych właściwości kokainy, wystarczy dodać, że wszyscy poza Andrzejem wychodzili z sali tak wyprostowani, jak wartownicy zmieniający się pod Grobem Nieznanego Żołnierza.
Andrzej nie zauważył nawet zniknięcia pozostałych. Za sprawą kokainy, jego świat zaczął przypominać telewizyjne mroczki, po środku których tlił się malutki zaparowany lufcik na rzeczywistość. Tę samą, której i tak nigdy nie pojmował.
Robert obdarzył Białego spojrzeniem, które w wolnym tłumaczeniu oznaczało: „A co z nim?
- No co? – spytał zaczepnie Biały – niech się hotel nim zajmie. Daliśmy im dużo pieniędzy, to chyba mogą wyświadczyć nam tę drobną przysługę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gunslighter, dodano 30.12.2013 18:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.